NUMER 16. LWÓW, DNIA 1. PAŹDZIERNIKA 1904. ROK I.

PROMYK

Prenumerata wraz z przysyłką wynosi:
w Austryi rocznie 2 K, półrocznie 1 K, kwartalnie 50 hal.
W Królestwie 2 ruble.
W Niemczech 2 marki.
We Francyi i w Szwajcaryi 3 franki.
W Ameryce pół dolara.

Numer pojedynczy 10 halerzy.



Pismo ilustrowane dla młodzieży i dzieci.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi: Lwów. Miłkowskiego 11.

G. DANIŁOWSKI.

Stare Dzieje.

Urywek z powieści **„Z minionych dni“** przedrukowany za zezwoleniem autora.

(Ciąg dalszy.)

Wszystkie okna w dworku, a właściwie ramy z resztkami szyb były naoścież otwarte. Po zarosłym trawą i burzanami dziedzińcu, wśród smutnych resztek drzewek, obłupionych z kory i gałęzi, od kasztanu do kasztanu chodził miarowym, żołnierskim krokiem siwy starzec, bez czapki, w szarem, płóciennem ubraniu; ręce miał splecione z tyłu, głowę pochyloną w dół i coś mamrotał półgłosem; zdawał się być tak pochłonięty tą sprawą, że nie zwrócił ani razu uwagi na małego jeźdźca, który defilował wolno drogą i śledził go ciekawie.

Wiktorek kilkakrotnie przejechał się tam i napowrót, dostawał napadów kaszlu, chrząkał, wycierał głośno nos, aż w końcu zniechęcony i trochę rozżalony, pocwałował do domu i zakomunikował bratu, że pan Postański chodzi ciągle po podwórku, jak wartownik i coś do siebie mruczy, jakby się uczył słówek łacińskich.

W parę dni jednak zjawił się w Klonowie Postański w chłopskim, słomianym kapeluszu, z grubym buczkiem w ręku.

Ujrzawszy go, Wiktorek, puścił się na spotkanie, jak strzała i szurgnąwszy przed nim nogami, spytał:

— Pan do Ignacego ma interes! Ignacy w polu, ale ja go zaraz sprowadzę.

— Nie! do ciebie, mój zuchu: — odparł wesoło stary.

Wiktorkowi zadrgało serce, aż się zaczerwienił z radości, zdumienia i niepokoju.

— A co takiego? — rzekł, łapiąc oddech we wzruszone piersi.

— Czy uczyłeś się już geografii? — spytał doktór, sadowiąc się na schodach kamiennego ganku.

— A jakże... Afryka, Ameryka, Australia, Azya, skończyliśmy właśnie.

— A Europa?

— Dopiero w trzeciej klasie.

— No, ale geografię polską znasz, co?

— A to osobno! pan Małkowski mnie uczy — odparł Wiktorek, trochę nierad z obrotu rozmowy, gdyż spodziewał się czegoś zupełnie innego.

— A masz tę książkę?

— Ja nie z książki, ale z kajetu, bo mi pan Małkowski dyktował...

— Pokaż mi ten zeszyt!

Wiktorek popędził do swego pokoiku na górkę, w spiesznych poszukiwaniach przewrócił kałamarz, zjechał na dół po poręczy i myśląc: Boże, co to będzie? wręczył doktorowi zakleksany zeszyt.

Postański przewrócił kilka kartek i rzekł:

— Ależ bazgrzesz, jak kura patykiem, czytajże za to sam!

— Z początku? — szepnął Wiktorek, strapiony niepochlebną opinią.

— Z początku!

— „Nizina polska“ - odchrząknął chłopak. — „Kraina ta stanowi przejście z Europy środkowe do wschodniej, z niziny Niemieckiej do Rosyjskiej“

podobnie, jak nizina Flandryjska z niziny Niemieckiej do Francuskiej“. — Pan był w tych wszystkich nizinach? — spytał nagle tonem twierdzenia.

— Byłem, wal dalej!

— „Stąd obie te krainy były polami krwawych zapasów między sąsiednimi narodami: „Grunwald“ dobitnie, z ożywieniem — „Waterloo“ ciszej i smutniej, bo mu żal było Napoleona — wymówił Wiktorek i znów spytał:

— I tam się pan bił? prawda!

— Skąd znowu! Zastanów się! głupstwa pleciesz!

— A bo to też Ignacy nagadał mi, że pan bardzo stary — tłómaczył się zawstydzony Wiktorek.

— W każdym razie nie tak bardzo!... — uśmiechnął się doktór, a chłopak czytał dalej:

— „Południową granicę stanowi tutaj środkowa część łuku Karpat, północną — również łukowaty brzeg Bałtyku. Na wschodzie i zachodzie granice, jak wogóle w krajach przejściowych, niewyraźne“.

— O tak!... - mruknął doktór.

— Co pan mówi? - - odparł Wiktorek.

Doktór milczał z surową twarzą, zapatrzony w przestrzeń.

— Nic! — odparł po chwili — dobrego masz nauczyciela!... Ale gdzie tu jest o mieszkańcach?

Wiktorek przerzucił kilka kartek i znalazł rozdział p. t.: „Człowiek“.

— „Człowiek“ — przeczytał. — „Co do pochodzenia, to Polacy stanowią więcej, niż połowę ludności, w pozostałej części przeważają Niemcy, a za nimi idą Żydzi i pokrewni Polakom Litwini. Ogółem około 18 milionów ludności na obszarze pięciu i pół tysiąca mil kwadratowych, czyli gęstość zaludnienia dość jednostajnie rozłożona, przedstawia około 3 tysiące ludzi na jedną milę“...

— Dość — przerwał doktór — będziemy liczyli trzy i pół tysiąca. A teraz słuchaj! masz tu notatnik i ołówek i rozwiąż mi takie zadanie: „Jeżeli na $3\frac{1}{2}$ tysiąca ludzi przypada mila kwadratowa, to ile sążni kwadratowych wypadnie na jednego człowieka“?

Wiktorkowi przeciągnęła się mina.

— Zrozumiałeś, potrafisz? — dodał doktór.

— Potrafić, potrafię — odparł nachmurzony Wiktorek, nierad, że go zmuszają na wakacyach rozwiązywać jakieś głupie zadanie, ale protestować jeszcze nie śmiał.

— Mila 7 wiorst — mruczał — wiorsta 500 sążni, 7-miu 7 = 49, 500 razy 500... proszę pana — zawołał nagle — strasznie duże mnożenie!

— Więc nie umiesz, to daj, skończę!

— Nie, ja sam — odparł Wiktorek, cofając notes i robił dalej. — Dzieli się, proszę pana! — krzyknął tryumfująco — jak drut, wychodzi bez ostatka.

— Bez czego? — skrzywił się doktór.

— Bez reszty.

— I ile wypada?

— Także trzy tysiące pięćset.

— Co ty mówisz, nie może być — złapał notes doktór — chybaś się omylił? To byłoby dziwne, dziwne! — powtórzył.

— Trzeba jeszcze zrobić powierkę — wtrącił Wiktorek. (Dok. nast.)



OWOC.

Na jednym pniu kukurydzy wyrosło dwa rodzaje kwiatów.

U góry kiść przepyszna drobnych kwiatuszków, jak pióropusz postrzępiona — same pręciki w nim widać, żółciutkie, jak słoma. U dołu kwiaty drobne, niepozorne, jeden obok drugiego na kolbie gęściutko ułożone. Z każdego z nich wychodził długi, jasny, jedwabisty włos. Włosy wszystkich kwiatów razem skupione wychylały się z za gęstej osłony liści, które całą kolbę osłaniały.

Były to kwiatki słupkowe a liściasta pochwa chroniła je od wiatru i mrozu, od deszczu i rosy, od skwaru słońca. Jedynie włosy bujały swobodnie po wietrze.

Bywało, wiatr kiścią górnych kwiatów trzęsie, a pręciki były już wtedy dojrzałe, więc pyłek złocisty sypał się i sypał, unosił się w powietrzu z wiatrem ulatywał, spadał na ziemię, na trawę, na liście — także i na dolne, słupkowe kwiaty i na długie ich srebrne włosy.

Były to znamiona słupkowe, tak jak wąsiki u goździków, jak piórka u traw.

Gdziekolwiek pyłek spadał, na ziemię czy na trawę — tam zsychał i marniał — na nic się nie zdał — ot przyprószył tylko z lekka i na tem koniec.

Całkiem co innego, gdy na włosy kwiatowe spadał, tu mógł żyć i rozwijać się — krótkie to życie! Pyłek sam rósł, wydłużył się w cieniuchną niteczkę wzdłuż włoska słupkowego — a potem w sam słupek wpadał.

Słupek jakby ożył: nowa siła mu przybyła! Rośnie tedy, rośnie, już przerósł znacznie kwiatki, do których pyłek nie dotarł i rośnie wciąż, coraz bardziej, coraz szerzej!

Powoli zamieniał się w ziarneczko.

Ziarneczko rośnie i dojrzewa. Jak myślicie: co w niem się rozwija? Przedewszystkiem zarodek nowej roślinki, ale prócz tego? — Pierwszy pokarm młodej roślinki, ta smaczna, słodka, żółta mączka, którą zajadamy z ziarnem kukurydzy.

Gdy ziarno padnie na ziemię, zanim liście i korzenie nie rozwiną się — młoda roślinka czerpie swój pokarm z ziarenka. Mączka i cukier w ziarenku rozpuszcza się, roślinka wzmacnia się, odżywia i rośnie.

Skąd się bierze ta mączka? Skąd się bierze ten cukier? Wszak nie są rozpuszczone w ziemi, roślina nie czerpie ich w soku korzeniami. I nie są rozpuszczone w powietrzu — liśćmi ich nie chłonie!

Mączkę tę i cukier wytwarza roślina sama w sobie. Wielkie warstaty spożywcze znajdują się w jej liściach, w drobniuchnych kuleczkach, wypełnionych zielonym sokiem, w „ciałkach zieleni“. Miliony tych kuleczek znajduje się w każdym liściu.

Tak tedy czerpie roślina korzeniami wodę z ziemi i sole przeróżne i przewodzi te soki do łodyg i liści.

Liśćmi wdecha powietrze, a z niem rozmaite gazy w powietrzu zawarte. Mieszają się one w roślinie z sokami, które korzeniami podeszły. — Soki takie pomieszane z powietrzem okrążają ciałka zieleni i zamieniają się w cukier i w mączkę. Nie pozostają jednak w liściach — próżna by to była praca, bo liść odpada w jesieni. Dopływają do dojrzewających ziarenek i tu się osadzają.

E. B. L.



Z pamiętnika
Józia Gajka
uczniа I. klasy gimn.

Wtorek 7. października.

Kiedym szedł do Stasia na górę, byłem bardzo nieśmiały. Tam były takie wielkie ładne schody. I ja wyszedłem po nich na górę i przycisnąłem dzwonek i myślałem co to będzie. I otworzył mi drzwi taki pan ładnie ubrany, to ja myślałem, że to jest tatuś Stasia i ukłoniłem mu się bardzo ładnie tak jak panu profesorowi. A on powiedział: proszę i pokazał dalej i ja poszłem dalej i tam był Staś i on zaraz skoczył do mnie i powiedział: serwus! i pomógł mi zdjąć płaszcz, śmiał się do mnie i mi zaraz się zrobiło bardzo swobodnie. I ja się go spytałem, kto to był ten pan, co mi otworzył drzwi, a on powiedział, że to jest lokaj (to jest taki pan, co uważa, przy drzwiach) to ja się bardzo zdziwiłem, że taki ładnie ubrany pan uważa przy drzwiach. A potem tośmy zaczęli się bawić i on mi pokazywał wszystko, takie cudne zabawki, kamyki do budowania takich małych pałaców i farby do malowania i pełno książek rozmaitych, a tam w nich są liczne obrazki i potem różne narzędzia i gry takie, ale ja nie wiem jak to się gra i Staś powiedział, że mi to potem wytłómaczy. Jeszcze nigdy takich ładnych zabawek nie widziałem. A potem to Staś powiedział, że pójdzie po kluczyk od szafki i pokaże mi jeszcze jedną ładną rzecz, to ja zostałem sam w pokoju i siadłem sobie na stołku i patrzałem się, jakie tu wszędzie ciekawe rzeczy. W tem drzwi się otworzyły i weszły dwie dziewczynki i mały chłopczyk. (To były siostry Stasia i jego braciszek). A ja sobie przypomniałem, co czytałem w jednej książce, że wobec pań trzeba być bardzo grzecznym, to ja zlazłem z krzesła i ukłoniłem się tak jak panu profesorowi. I wtedy jedna z dziewczynek kiwnęła mi głową, a druga zaczęła się śmiać, ale jej zaraz ta starsza powiedziała: cicho! i ona przestała. A ten mały braciszek, on się nazywa Adaś, to on włożył palec do buzi i patrzał na mnie, a potem przystąpił do mnie, wyjął palec z buzi i powiedział: jak się mas! I to było bardzo śmieszne. A potem i Staś wrócił, otworzył szafkę i wyjął z niej taką maszynkę z kółkiem, a potem wyjął flaszkę z takim czarnym sokiem i przyczepił jakieś druty do tej maszynki i do tej flaszki i nagle kółko zaczęło się samo obracać. To ja się bardzo zdziwiłem i patrzałem ciągle na tę maszynkę, jak to ona się obraca. A wtem przyszedł do pokoju jeszcze jeden pan, to ja się spytałem Stasia na ucho, kto to, a on powiedział, że to jest jego nauczyciel i nazywa się pan Tadeusz. I ten pan nauczyciel to mi podał rękę i powiedział: dobry wieczór i uśmiechnął się do mnie i spytał się, czy ja rozumiem, jak ta maszynka się obraca. To mi się zaraz zrobiło bardzo miło, że to taki dobry pan nauczyciel i powiedziałem, że nie wiem. A on mi wytłómaczył. On powiedział, że jest taka siła, co się nazywa elektryczność. I ta elektryczność różnie może powstać, (ona też powstaje w chmurach przy burzy, i wtedy jest piorun) ale może też i tak powstać, że się składa węgiel i cynk do tego soku czarnego. (Ale nie węgiel do palenia tylko inny). I ta elektryczność to ona potem idzie po tych drutach. A potem to on powiedział, że jak elektryczność po drutach idzie dookoła żelaza, to to żelazo zamienia się na magnes, taki, co przyciąga drobne kawałki żelaza. Więc w tej maszynie tak jest i tam to żelazo przyciąga taką blaszkę, a potem tak tam jest zrobione, że ta elektryczność przestaje iść na chwilę i ta blaszka się odchyla, a potem znów idzie elektryczność, to znów żelazo się staje magnesem i ta blaszka się przychyla i tak ciągle się przychyla i odchyla. A z tą blaszką jest połączone kółko i przez to ciągłe ruszanie się tej blaszki to i to kółko się rusza. I ja się bardzo ucieszyłem, że to tak dobrze rozumię. A potem tośmy jeszcze o różnych innych rzeczach rozmawiali i Staś rozmawiał i ten pan nauczyciel i ja. I tak mi było miło, że chciałem tego pana nauczyciela dobrego pocałować, ale nie śmiałem. A potem to weszła znów ta starsza dziewczynka i powiedziała: Proszę na podwieczorek! I poszliśmy wszyscy do drugiego pokoju i tam był stół ładnie nakryty i dostaliśmy mleko i jabłka i gruszki i wyborne ciastka, takie, jak mama piecze na Wielkanoc, tylko jeszcze lepsze. Cudna to była zabawa.

A potem wszedł jeden pan z siwymi wąsami i Staś mi powiedział: to jest mój tatuś. I ja się ukłoniłem, a ten pan powiedział: Jak się masz i pogłaskał mnie i powiedział, żebyśmy się ładnie bawili, a potem to on zaraz poszedł. To musi być bardzo dobry ten tatuś Stasia. A potem tośmy znów poszli do tamtego pokoju i pan Tadeusz spytał się, czy chcemy, żeby nam pomógł przy lekcyi, a my powiedzieli: dobrze i on nam wytłómaczył łacinę i potem podyktował słówka niemieckie i to poszło bardzo prędko. A potem to ja już chciałem iść, ale Staś powiedział, żebym oglądnął jego książki i że mi pożyczy jaką książkę, to ja oglądał i były śliczne, ale ja nie wiedziałem, którą mam pożyczyć, to on powiedział, żebym wziął książeczkę o jednym człowieku, który żył na bezludnej wyspie i różne miał przygody ogromnie ciekawe i ta książka to się nazywa „Robinzon Kruzoe“, to ja ją wziąłem i potem się pożegnałem ze wszystkimi i poszłem i byłem bardzo wesoły i skakałem po schodach.

Niedziela.

Jaka to śliczna książka ten Robinson! Żebym to ja mógł tak podróżować po różnych krajach i nie potrzebował do szkoły chodzić! Ale jabym odrazu wziął 3 scyzoryki, jeden mniejszy i dwa wielkie i przywiązałbym mocno do paska i także pistolet, żeby potem, jak się okręt rozbije i ja się dostanę na bezludną wyspę, tobym już nie potrzebował tak uważać na nóż, jak Robinson, bobym miał trzy i nie potrzebowałbym się bać dzikich, bobym odrazu miał pistolet. Jakże to są różne, dziwne kraje, żeby to się można o nich dowiedzieć, ale o wszystkich!

Środa.

Wczoraj to ja mówiłem Stasiowi, że mi się bardzo Robinson podoba i żeby było dobrze, żeby można dostać jaką książkę o tych ciekawych krajach, żeby już je znać przedtem, nie tak jak Robinson, który nieznał tam ani roślin, ani zwierząt i dopiero powoli sobie dawał radę. Dzisiaj po godzinie przystąpił do mnie Staś i powiedział, że ma coś dla mnie i wyjął z torby taką długą książkę i dał mi. Ja myślałem, że on mi to chce pożyczyć, ale on mi powiedział, że mi to daruje. To ja się okropnie ucieszyłem, zacząłem skakać i całować Stasia i potem popatrzyłem, a to była taka książeczka a różnych krajach i śliczne obrazki, to ja znowu zacząłem Stasia całować i ogromnie się ucieszyłem. I potem poszłem do domu i zacząłem czytać tę książkę i tam są cudne rzeczy i przeczytałem już o Australii jakie tam dziwne drzewa i pustynie i dzicy ludzie i zwierzęta. Tam jest jedno takie zwierzę, co skacze na tylnych łapach i nosi swoje dzieci we worku pod brzuchem jak w powozie i nazywa się kangur, a drugie to ma cztery nogi, a mimoto dziób jak ptak i składa jaja i nazywa się dziobak. I różne inne rzeczy jeszcze czytałem.

Poniedziałek 20. października.

Wczoraj spotkało mnie wielkie nieszczęście. Tata poszedł się spytać do szkoły, jak ja się uczę i powiedzieli mu, że niedobrze, a najgorzej z geografii i tato przyszedł do domu i wybił mnie. I ja bardzo płakałem, płakałem, ciągle płakałem aż tato znów przyszedł i powiedział, żebym przestał płakać i wziął się do nauki, bo jeszcze dostanę. I ja poszedłem do drugiej izby i już tylko cicho płakałem i patrzałem się na podwórze i te dwa drzewa co tam rosną i zaraz przypomniał mi się Robinson i że on nie musiał chodzić do szkoły, ale mógł robić co chciał i nie musiał się uczyć. Ale potem mi się przypomniało, że i on był nieszczęśliwy i wolałby zostać przy rodzicach. A potem sobie przypomniałem o tem, że Robinson zawsze myślał o swych przygodach, co w nich złego i co dobrego. To i ja tak zrobiłem. Złe jest to, że nie umiałem geografii i dostałem w skórę, ale dobre jest to, że jeszcze nie koniec kursu i mogę to jeszcze poprawić. Złe jest, że muszę się ciągle uczyć, ale zato mam czasem wolne i mogę wtedy czytać książki i mam Stasia i mogę czasem iść do niego.

A są dzieci, co im jeszcze gorzej jak mnie, ja sam, jak tamtego tygodnia wieczór pobiegłem po zeszyt widziałem taką dziewczynkę biedną, z małym chłopczykiem, która stała pod murem i żebrała. Jakem tak o tem wszystkiem myślał, to już przestałem płakać i skończyłem lekcyę i poszłem spać i śniło mi się, że jestem na wyspie bezludnej i patrzałem jakie tam były dziwne drzewa, aż w tem nagle wypadł z lasu okropny jakiś człowiek i krzyczał: ja cię zabiję, ja jestem geografia! I biegł do mnie, a ja zacząłem strasznie krzyczeć: Staś, Staś! ale Stasia nie było i ten człowiek był coraz bliżej, coraz bliżej i wtedy się obudziłem, dzięki Bogu! Jakie to się czasem dziwne rzeczy śnią!

Wtorek 28. października.

Dzisiaj na pauzie przed łaciną to wszyscy cicho siedzieli i powtarzali, bo oni się bali, bo było dużo zadane a ja siedziałem ze Stasiem i dyktowałem mu słówka z mojej preparacyi, bo on zapomniał zrobić, aż wtem nagle przychodzi jakiś pan profesor nie z naszej klasy i powiedział, żebyśmy już poszli do domu i że jutro też szkoły nie będzie. To się zaczął okropny wrzask i wszyscy skakali po ławkach i biegli do domu, a Staś mi zaraz powiedział, żebym dziś znowu przyszedł do niego na zabawę, bo na jutro się nie ma co uczyć, bo jutro wolne, a ja powiedziałem dobrze i wyszliśmy razem i jeszcze kilka chłopców, a za szkołą to urządzili wojskową muzykę i trąbili na zeszytach i bili książkami o siebie. A popołudniu to ja poszłem do Stasia i znowu mi otworzył ten pan lokaj i poszedłem do pokoju Stasia, ale go tam nie było, tylko siostry. To ja się ukłoniłem i ta starsza siostra powiedziała: Proszę, niech pan siada, to ja się bardzo zdziwiłem, że ona mi mówi pan i siadłem, a ona powiedziała: Stasia nie ma, ale on zaraz przyjdzie. Więc ja siedziałem i czekałem, a ta siostra, to ona temu małemu Adasiowi opowiadała bajkę o tem, jak jeden grzeczny chłopczyk obronił żabki

przed złymi chłopcami i potem te żabki przyszły do tego grzecznego chłopca ślicznie ubrane w suknie z wierzbowych liści i koronki stokrótkowe i dziękowały mu i opowiedziały mu o miejscu pod lasem, gdzie są zabawki schowane i ten chłopiec je znalazł i były śliczne. Ja wiedziałem, że to być nie może, ale przecie to było bardzo ładne. A potem przyszedł Staś i pan Tadeusz i przywitałem się z nimi, a Staś mnie się spytał, czy się tu nie nudziłem i com robił, nim on przyszedł. A ja powiedziałem, żem słuchał bajki i wtedy on się odwrócił do pana Tadeusza i powiedział: Proszę pana, możeby Pan nam opowiedział bajkę? A wtedy pan Tadeusz się uśmiechnął, a Staś zaraz zawołał:

(D. c. n.)



ALFONS DAUDET (czyt. Dode).

Nadzwyczajne przygody imci pana Tartarin'a z Taraskonu.

(Z FRANCUSKIEGO).

(Ciąg dalszy).

VII. Postanowienie.

Następnego dnia opowiadano sobie w mieście, że Tartarin wybiera się do Algieru, by polować na lwy. Wieść ta rozeszła się z szybkością błyskawicy — podawano ją z ust do ust, rosła, potężniała, opowiadano o najdrobniejszych szczegółach podróży.

Najbardziej zdziwił się Tartarin, słysząc te baśnie. Prawda, że widok lwa podniecił jego wyobraźnię — ale o podróży nie myślał wcale! Ponieważ jednak już o tem mówiono... nie wypada zaprzeczyć, to też, gdy zapytano go o to po raz pierwszy, odrzekł tajemniczym tonem:

— Hm! hm! nic nie powiem.

Gdy zapytano go po raz drugi, oswoił się już był z tą myślą i rzekł:

— Być może!

Gdy zapytano go po raz trzeci, powiedział:

— Pojadę!

Radość zapanowała w mieście! Wielbiono przyszłego bohatera, święcono przyszłe jego tryumfy. Przyjaciele urządzili mu wspaniałe przyjęcie i bankiet w klubie.

Dumny i szczęśliwy z postanowienia, Tartarin wzruszył się do głębi tylu dowodami przyjaźni.

— Znudziło mi się polowanie na czapki — mówił drżącym ze wzruszenia głosem — idę mierzyć się ze lwami.

— Hurrrra! — krzyknęła przeciągle drużyna. Wypito zdrowie bohatera a gdy wracał do domu odprowadzili go wszyscy tryumfalnym pochodem z pochodniami!

Późno w noc brzmiały jeszcze radosne okrzyki pod oknami bohatera, ale Tartarin w domowej ciszy, począł zastanawiać się nad tem co uczynił. Jaka bezgraniczna lekkomyślność! Co za szaleństwo! Nuż się okręt zatopi? Może nabawić się reumatyzmu, malaryi, dżumy.....

Zresztą — — — dlaczegoż miałby natychmiast wyjechać? Do takiej podróży trzeba się należycie przygotować.

Przedewszystkiem postanowił przeczytać opis podróży po Afryce Mungo Park'a, Coille'a, Livingstone'a i Henryka Duverryer'a.

Przekonał się, że oni też łapu capu nie zabrali się do podróży. Uczyli się wpierw systematycznie znosić głód i pragnienie, ćwiczyli się w marszu i noszeniu ciężarów.

Tartarin postanowił iść za ich przykładem i począł żywić się wyłącznie bułką rozmoczoną na papkę we wodzie — dodawał do tego dla smaku trochę czosnku, trochę macierzanki i bobkowych liści.

Aby przyzwyczaić się do marszu, przebiegał miasto wzdłuż i wszerz 7 razy dziennie. Biegł szybko, potem — zwalniał nagle kroku, by znów popędzić po chwili co sił starczyło i dawną metodą ludów starożytnych trzymał kilka kamyczków w ustach.

By przywyknąć do chłodu nocy, do mgły i rosy — wychodził z domu późnym wieczorem i stawał przed baobabem. Stał jak przykuty, strzelba na ramieniu — nie ruszał się z miejsca a tylko wzrokiem niespokojnym wodził w koło i baczył czy nie należałoby dać ognia.

Potem szedł na wartę przed menażerye Mitaine'a — chciał przyzwyczaić się do ryku lwa wśród nocnej ciszy.

VIII. Przed odjazdem.

O niczem innem nie mówiono w Taraskonie, jak tylko o podróży Tartarina. Niczem innem nie zajmowano się zgoła. Ucichły zabawy, gry i zebrania, zaniechano nawet słynnych łowów — cała uwaga skupioną była na bliską podróż.

O każdym kroku, o każdym ruchu Tartarina opowiadano sobie szeptem po ulicach i placach miasta. Szczęśliw ten, do którego się zbliżył, do kogo przemówił słów kilka! Jaka błogość spływa na tego, na kogo spojrzał! Co za zaszczyt przejść się z nim społem po menażeryi Mitaine'a. Stawał tedy przed klatką lwa i cichym ale spokojnym głosem opowiadał jak to się czatuje na lwy, jak się ich podchodzi, kiedy trzeba celować, kiedy strzelać, jakie niebezpieczeństwo strzelcowi grozi. Mówił tak płynnie, tak pięknie, z takim zapałem — że porywał słuchaczy!

Razu pewnego, przy podwieczorku u pana Brawida wszczęła się rozmowa o podróży. Tartarin wsparł oba łokcie na stole i wolnym, drżącym ze wzruszenia głosem opowiadał o niebezpieczeństwach, które mu mogą grozić w Afryce, o długich nocach bezksiężycowych, wśród których będzie stał na warcie, o moczarach zieją-

cych zarazę, o rzekach, po których pływają zatrute liście, o żarze słońca, o skorpionach i ulewach. Opowiadał też o olbrzymich lwach z Atlasu i ich obyczajach, o niezrównanej sile ich i dzikości.

Rozgrzał się własnem opowiadaniem. Wstał od stołu, stanął w pośrodku pokoju naśladując ryk lwa i odgłos strzelby: puf! puf!

Całe towarzystwo zbladło z przerażenia. Mężczyźni spojrzeli na siebie i wstrząsali głowami z podziwu, że znalazł się bohater, który nie lęka się tych okropności. Kobiety zamykały oczy i wzdychały ciężko.

Mimo wszelkich przygotowań — Tartarin nie wyjeżdżał z Taraskonu.

IX. Gorżkie czasy.

Menażerya Mitaine'a już od 3 tygodni opuściła Taraskon a Tartarin jeszcze nie był wyjechał! W mieście poczęto już szemrać na to.

— Zrobi tak jak z Szangajem — powiedział Costecalde ze złośliwym uśmiechem.

Słowo to padło na wzburzone umysły, jak iskra na skład prochu. Upadła wiara w wielkość Tartarina. Wyśmiewano się z niego.

Najbardziej szydził aptekarz, tchórz wielki, który drżał przed myszą i zamierał ze strachu na widok strzelby. Gdzie tylko Tartarin się ruszył, zamiast zwykłego pozdrowienia, słyszał wciąż szydercze zapytanie:

— Co słychać z podróżą? Kiedyż pan pojedzie?

Na posiedzeniu sądu rozjemczego nie proszono go już do przewodnictwa. Nie zważano już wcale na jego zdanie. Strzelcy odstąpili mistrza...

Po mieście krążyły szydercze piosenki o wyjeździe Tartarina...

Tartarin udawał, że nic nie widzi i nic nie słyszy — ale bolał go bardzo brzydki, niski, nieszlachetny, złośliwy sposób, w jaki rzucono mu rękawicę! Ciężko mu było patrzeć, jak powaga jego z każdym dniem bardziej upadała. Czuł, że znaczenie jego jest zachwiane; widział, że inni jego kosztem zdobywają rozgłos dla siebie.

Bohatersko znosił Tartarin ten srogi cios — żył nadal cicho i spokojnie, tak, jak gdyby nie wiedział o niczem.

Czasami tylko zrywał maskę spokoju — i wtedy widać było jak cierpiał srodze! Ból, żal i gniew wezbrany na dnie duszy, wybuchał wtedy z żywiołową siłą!

Razu pewnego stał przed lustrem i strzygł sobie brodę, gdy zanucono mu nagle przed oknem jakąś złośliwą pieśń.

Nie sposób ścierpieć tego! Tartarin do głębi wzburzony otworzył okno, stanął w niem nieubrany z dużemi nożycami w ręku i zawołał głosem złamanym boleścią:

— Sztyletem zakłójcie mnie panowie! Sztyletem — ale nie szpilkami!

X. Decyzya.

Jeden tylko przyjaciel Brawida pozostał mu wierny. Stawał otwarcie po jego stronie. Widząc że rzecz przebrała już miarkę, postanowił rozmówić się z nim poważnie.

Pewnego wieczora siedział Tartarin sam w swej komnacie, gdy przybył doń Brawida. Wszedł powolnym, poważnym krokiem. Czarny surdut jego zapięty był aż pod samą szyję. Na rękach miał czarne rękawiczki.

— Tartarinie! — rzekł z godnością — musisz jechać koniecznie!

Tartarin zrozumiał, że to sprawa honoru. Zbladł jak płótno z żalu, ogarnął tęsknem spojrzeniem pokój swój i sprzęty i zbroję i śliczny ogród, który rysował się za oknem. Zbliżył się do przyjaciela, uścisnął mu rękę i rzekł z cicha drżącym z bolu i wzruszenia głosem:

— Pojadę Brawido!

I pojechał! — ale nie tak prędko przecie! Dał sobie wpierw sporządzić wielką skrzynię z mosiężną okową, na której umieścił mosiężną tarczę z napisem:

Tartarin z Taraskonu.

Skrzynia zbroi.

Sporządzenie tej skrzyni trwało długo. Potem kazał sobie zrobić wspaniałe album, w które chciał zapisywać wspomnienia z podróży — boć przecie przy polowaniu na lwy nie jedna piękna myśl snuć się musi strzelcowi przez głowę.

Następnie sprowadził z Marsylii rozmaite konserwy owocowe, ryby marynowane, bulion namiot, który miał go ochronić od udaru słonecznego, kalosze, dwa parasole, płaszcz gumowy od deszczu i niebieskie okulary dla ochrony zdrowych jeszcze oczu.

Aptekarz przysposobił mu małą apteczkę nieodzownie potrzebnych środków, szarpie, kamforę i amoniak. (C. d. n.)



MOHORT.

Ryciny nasze przedstawiają rycerza polskiego z dawnych czasów, który całe życie swoje spędził na krańcach Polski, na stepach ukraińskich w samotnie położonym futorze i wraz z drużyną swoją strzegł granic państwa. Bronił on kraju przed napadami obcych plemion, a w razie niebezpieczeństwa dla kraju, pierwszy pierś nastawiał na nieprzyjacielskie razy. Wincenty Pol w poemacie swoim p. t.: „Mohort" opisuje życie i czyny takiego rycerza: Ryciny przedstawiają jak Mohort z drużyną objeżdża granice, jak żegnają go w dworku, do którego zajechał i w końcu śmierć starca, który krajowi służy do późnej starości — śmierć na polu bitwy.

Zasłużeni wynalazcy.
Tomasz A. Edison.

Tomasz Alva Edison słynny wynalazca fonografu urodził się w r. 1847 w Milanie w stanie Ohio a dzieciństwo spędził w mieście Port Huron w Miczigan. Ojciec jego pochodził z Holandyi i był kolejno krawcem, ogrodnikiem, handlarzem zboża i t. p. Był to człowiek rzutki, energiczny i inteligentny, ale nie wiodło mu się w życiu i mimo starań i wysiłków nie mógł dać rodzinie dostatniego utrzymania.

Ponieważ Edisonowie nie posiadali środków na opłacanie nauczyciela, matka sama uczyła syna, a gdy umiał już pisać, czytać i rachować, kształcił się dalej sam bez niczyjej pomocy. Był żądnym wiedzy — a czytać umiał — więc czytywał wszystko, co mu tylko w ręce wpadło: książki, gazety, dzieła uczone — słowem wszystko.

Rodzicom jego wiodło się jednak tak źle, że gdy Edison miał lat 12, nie mogli mu dać utrzymania w domu i musiał sam na siebie zarabiać. Oddano go do pociągu, kursującego przez Kanadę i Miczigan, jako chłopaka posługującego. Roznosił on w pociągu gazety, owoce, ciasta, cygara i książki. W krótkim bardzo czasie poznał swój interes, podnajął sobie chłopaków, którzy za niego przedmioty te sprzedawali, a sam siedział w pakunkowym wozie i czytywał całymi dniami i na całej drodze. Za oszczędzone pieniądze kupował coraz to inne książki i uczył się z nich. Dzięki ogromnej energii i wytrwałości zdołał z czasem z małych swoich zarobków urządzić sobie w wozie pakunkowym całe laboratoryum dla fizykalnych doświadczeń, które robił z niebywałem upodobaniem.



MOHORT



MOHORT

Ciekawem jest, że gdy w pewnej drukarni wyprzedawano zużyte czcionki — Edison kupił je, jakoteż inne potrzebne przyrządy i urządził sobie małą drukarenkę.

Na niej drukował gazetę, którą sam pisał, redagował i sprzedawał gościom w pociągu. Przedsiębiorstwo to miało smutny koniec. Razu pewnego przewróciła się flaszeczka z fosforem w laboratoryum Edisona. Fosfor zajął się w jakiś sposób i wszczął się pożar w pakunkowym wozie. Maszynista ugasił pożar z pomocą Edisona, ale wyrzucił z wozu cały jego skład.

Jak wielką była żądza wiedzy młodego chłopca, świadczy fakt, że w mieście Detroit, gdzie pociąg jego zatrzymywał się przez parę godzin, udawał się Edison wprost z kolei do biblioteki i cały czas spędzał tam na nauce i czytaniu, aż do odejścia pociągu.

Postanowił przeczytać za porządkiem wszystkie książki, znajdujące się w bibliotece. Byłby z pewnością uskutecznił ten zamiar, gdyby bibliotekarz nie był zwrócił

na niego swojej uwagi. Bibliotekarz zaprzyjaźnił się z nim i poradził, wybierać dzieła wedle treści, a nie wedle porządku.

W mieście Port Huron, gdzie pociąg stał też przez kilka godzin, nie było biblioteki. Edison zajmywał się tam sporządzaniem stosów elektrycznych, aparatów telegraficznych, przewodów i wogóle robieniem doświadczeń fizykalnych, o ile tylko środki mu na to pozwalały. Edison uczył się w tych czasach tak żarliwie, że każda chwila była mu drogą, i bał się stracić każdą minutę, którą mógł spędzić na samodzielnej nauce. Dom jego w Port Huron stał nad nasypem kolejowym, ale, aby dojść stamtąd do stacyi, trzeba było 20 minut czasu. By ten czas zaoszczędzić, wysypał Edison przy ścianie domu wielki wał z piasku i wskakiwał z niego wprost na pociąg, gdy tenże był w pełnym ruchu.



MOHORT

Stanowczy zwrot w życiu Edisona datuje się od chwili, gdy z nadzwyczajnem poświęceniem uratował życie dziecku naczelnika stacyi.

Działo się to tak: Edison stał na peronie i widział, że jakieś dziecko bawi się na torze kolejowym, a pociąg tuż, tuż nadjeżdża. Nie namyślając się długo, wskoczył na tor, porwał dziecko i przeskoczyć miał na drugą stronę, gdy pociąg nadjechał i przeskakującego już Edisona z dzieckiem na ręku porządnie trącił. Edison upadł ale na drugą stronę toru tak, że ani jemu, ani uratowanemu dziecku nic się nie stało. Ojciec dziecka, naczelnik stacyi w Port Huron, z wdzięczności wyuczył Edisona na telegrafistę tak, że Edison mógł porzucić żmudne swoje zajęcie — chłopaka posługującego w pociągu i został telegrafistą. W krótkim czasie prześcignął wszystkich swoich kolegów i nietylko umiał znakomicie telegrafować, ale robił jedno odkrycie za drugiem, jedno ulepszenie aparatu telegraficznego za drugiem. W r. 1881 posiadał już Edison jedynie na ulepszenia aparatu Morsego 36 patentów. Dzięki tym ulepszeniom stał się wnet Edison bogatym człowiekiem, porzucił służbę przy telegrafie i urządził sobie niedaleko Nowego Yorku w Menlo Park wielkie laboratoryum, które stało się odtąd kolebką jego dalszych wynalazków. W tym to laboratoryum powstał fonograf. W r. 1888 przesłał Edison do Londynu angielskiemu stowarzyszeniu przyrodników pierwszy fonograf.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Z powodu braku miejsca Nr. 16-ty „Promyka“ nie zawiera wyjątkowo „Kącika dla małych dzieci“.

Szaradę w Nr. 15 umieszczoną napisała Jadwinia J. — przez pomyłkę wydrukowano Jadwinia F.

Maniusi H. w Przemyślu. Pewnie Maniusia bardzo zadowoloną będzie, że umieszczamy tym razem jej zagadkę. Cieszymy się bardzo jeżeli się „Promyk“ czytelnikom naszym podoba.

Leosiowi M. w Stanisławowie. Dziękujemy Leosiowi bardzo za piękny list i obszerny opis podróży. „Promyk“ cieszy się serdecznie listami Czytelników swoich. Mamy nadzieję, że Leoś wnet będzie we Lwowie i przyjdzie do do Redakcyi „Promyka“ co nas bardzo ucieszy.

Z powodu braku miejsca odkładamy resztę korespondencyi i rozwiązanie zagadek z N-ru 15-go do następnego numeru. — Na nagrodę przeznaczamy piękną książkę.

Łamigłówka sylabowa

nadesłana przez Romcię Z. ze Lwowa.

ra — nu — eu — ma — ro — mer — pa

Litery początkowe i końcowe czytane z góry na dół, dają nazwy 2 rzek w Europie.

1) Oprawa,
2) Część świata
3) Liczba.

Szarada literowa

nadesłana przez Leona M. ze Stanisławowa.

Pierwszą widzisz na proroku
Druga tylko raz jest w roku,
Trzecia krągła jak kapusta
Czwarta nam zamyka usta
Piątą mówi, kto się jąka,
Szósta zdobi ogon bąka —
Całość: to nasz gość kochany
Dobrze Czytelnikom znany.

Zagadka

nadesłana przez Manię H. z Przemyśla.

Słońce mi wrogiem, a matką mą zima
Pótym przy życiu — póki mróz trzyma
Hen, na północy ojczyste me kraje
Gdy mnie chcą ograć, sobą być przestaję.

Wydawc. odpow. redaktorka: Jadwiga Czajkowska. Drukarnia Udziałowa we Lwowie, ul. Kopernika 20.